

Dziczenie

Patrzanie na świat z perspektywy 60+ ma, *nomen omen*, swoje plusy. Jednym z nich jest możliwość dostrzegania w oparciu o własne, bezpośrednie doświadczenia, różnych zmian zachodzących w naszym otoczeniu. Większość z nich nas wkurza, bo, niezależnie od poglądów, pod względem otoczenia zawsze jesteśmy konserwatystami. Wkurza nas więc wycięty las, do którego przez kilkadziesiąt lat chodziliśmy na grzyby, osuszona i w końcu zaorana łąka, na której w młodości widzieliśmy po raz pierwszy czajki, czy wycięte przez sąsiada drzewo, w którym „od wieków” była dziupla szpaków. Ale widzimy też, że w ogrodzie pojawiły się kosy, których „kiedyś” we wsi nie było, że, nie wiedząc kiedy, stałym elementem akustycznym otoczenia stały się głosy żurawi z pobliskiego łągu i okolicznych pól kukurydzy. Takie obserwacje i refleksje ma zapewne każdy, kto żyje dostatecznie długo. Mnie nachodzą często podczas prac terenowych. Kilkunastokilometrowe trasy, kiedy coś godnego zanotowania trafia się co jakiś czas, a reszta to „jałowe” przejścia, w zadziwiający sposób aktywizują różne uśpione części mózgu, które przecież, bez pytania mnie o zgodę, analizują co widzą, słyszą i czują.

Ostatnio zdarza mi się często chodzić wzdłuż cieków i zbiorników wodnych. Kiedyś było to proste, bo brzegi każdego jeziora czy rzeki oplecione były siecią ścieżek wędkarzy i kłusowników, którzy, często ciągnąc za sobą cenny rower, docierali w najdalsze i najdziksze zakątki. Dziś wszystko to znikło - sfera aktywności wędkarskiej ogranicza się do miejsc, do których dojechać można samochodem i odległości do 100 m od nich. Dalej prawie nikt się już nie zapuszcza, dawne ścieżki zarosły, kładki się rozpadły, luki w szuwarze zabiłnily. Wystarczyło kilkanaście lat wymuszonej wygodą i dobrobytem zmiany nawyków.

Zdecydowanie zmniejszyło się zresztą natężenie wszelkiej aktywności ludzkiej w terenie. Może poza okolicami wielkich aglomeracji, gdzie lasy i inne tereny użytkowane są jako parki miejskie. Jedynym okresem kiedy spotkać można ludzi prawie wszędzie, jest grzybobranie, poza nim pojawiają się w lesie sporadycznie. Nie zbierają już jagód, chrustu, szyszek (tak, w latach 60. ludzie zbierali w lesie szyszki – dobrze się nimi rozpalało, a rozpalać w piecu lub „pod płytą” trzeba było codziennie), nie jadą po „trawę dla królików”, „czarcie żebro dla kur”, leszczynowe „tyczki do fasoli” czy sosnowe „kołki do pomidorów”. Poza nielicznymi hobbyistami, w niektórych kultywujących tradycję obszarach, prawie nikt już nie kłusuje. Wreszcie, mało kto chce już w lesie mieszkać – nowe leśniczówki powstają we wsiach, a czasem nawet w miastach, te stare, śródleśne, stoją zwykle z zabitymi dyktą oknami i niszczej.

Przyroda oczywiście się tym nie martwi. Po dawnych ścieżkach, drogach, a czasem nawet śródleśnych osadach, po kilkadziesiąt lat naszej nieobecności pozostają w terenie tylko ledwie widoczne ślady. Renaturyzacja, czyli po prostu dziczenie, postępuje w zadziwiająco szybkim tempie. Coraz więcej spokojnych miejsc wydają się mieć do dyspozycji nie przepadające za ludźmi zwierzęta. Dla chroniącego przyrodę są to oczywiście refleksje miłe sercu. Pojawia się w tym wszystkim jednak niemiły zgrzyt – jest nim pytanie, czy ludziom, którzy nigdy nie chodzili „na ryby”, nie wykąпали się w rzece, nie weszli w głąb lasu dalej niż kilka kroków od przydrożnego parkingu, będą do czegoś te lasy, rzeki i jeziora potrzebne? Może wystarczą im plantacje dostarczające „naturalnego” drewna, zbiorniki wody potrzebnej w kranie i wodne autostrady?

Andrzej Jermaczek